

Trzy Chinki

Beata Lentas

Trzy Chinki: Lingling, Haiou i Shan spotkałam w 2010 Roku Tygrysa i w 2011 Roku Królika podczas podróży po Kraju Środka. Poznałam je w różnych okolicznościach i miejscach. Nasze rozmowy trwały niekiedy wiele godzin, czasem dni. Jedne wypowiedzi spisywałam, inne nagrywałam. Nie będzie tutaj sensacyjnych wieści o Chinach, które oburzony Zachód czyta na pierwszych stronach gazet. Będą za to zwyczajne historie, codzienne życie, praca, pragnienia. Z tych opowieści ułożył się rodzaj rozmowy, która pozwoliła mi dokładniej zrozumieć pokolenie dobiegających trzydziestki chińskich kobiet. Są wykształcone, znają obce języki, podróżują. Mówią o sobie „wyzwolone”, wyzwolone od tradycji, rodziny, partii.

Lingling ma 27 lat, pochodzi z Heilongjiang, dawnej Mandżurii – najbardziej na północ wysuniętego regionu Chin. Jej imię przypomina dźwięk zderzających się drogocennych kamieni, może jadeitów? Pracuje jako tłumaczka na rosyjskich statkach remontowanych w Chinach. Rosjanie mówią do niej „Masza”.

Haiou urodziła się w Jilin, prowincji sąsiadującej z Heilongjiang od południa. Obcokrajowcy, których uczy chińskiego, nazywają ją „Seagull”. Słowo haiou oznacza to samo co angielski wyraz seagull – mewę. „Mewa – myślała matka Haiou – jest odważnym i mocnym ptakiem. Może lecieć wbrew sile wiatru i fal, i burzy”. „Mama chciała, żebym była dzielna, odważna, dlatego dała mi symboliczne imię. To jedno wytłumaczenie, inne było takie, że w licznej rodzinie mojego ojca dziewczynki zawsze dostawały na pierwsze imię Hai, czyli morze. Hai trzeba było połączyć z innym słowem i dopiero wtedy stanowiło całość, miało właściwy sens. Na przykład błękitne morze, Hailan, jak nazywa się średnia córka stryja brata mojego ojca. Tak więc, kiedy się urodziłam, ciekawe imiona, które można było związać z hai, dostały już starsze kuzynki. Mama miała dość ograniczony wybór, zostałam zatem Haiou, mewą”.

Chińczycy, prócz imion chińskich, które otrzymują przy narodzinach, bardzo często przybierają później także imiona angielskie, francuskie, rosyjskie i inne. Czasem mają nawet po kilka obcojęzycznych imion. Lingling dla Rosjan jest „Masza”, ale dla Amerykanów – „Mary”. Pomaga to laowai, czyli cudzoziemcom, z którymi się styka, zapamiętać jej imię. „Anglikowi czy Rosjaninowi

o wiele łatwiej wymówić imię «Mary» czy «Masza». Łatwiej je też oswoić, ponieważ brzmi dla nich znajomo. Kiedy przedstawiam się «Lingling», są same kłopoty. Najczęściej obcokrajowcy nie potrafią poprawnie wypowiedzieć mojego imienia lub po prostu wypada im ono z głowy” – tłumaczy.

Jedynie 28-letnia Shan, pochodząca z południowej prowincji Hunan, pozostała dla obcokrajowców Shan. Shan znaczy góra. Shan jest menedżerem w jednej z zagranicznych firm w Szanghaju.

Marzenia i plany

Haiou: Postanowiłam, że zostanę nauczycielką, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Marzyłam, że stoję przed tablicą i tłumaczę uczniom świat, kaligrafuję znaki, rysuję mapę Chin. Pewnie wpłynęła na mnie rodzinna tradycja: mama jest nauczycielką, babka ze strony mamy i dziadek też byli nauczycielami. Choć dziadka w ogóle nie pamiętam. Zginął, ratując dwóch uczniów, którzy się topili w jeziorze niedaleko szkoły. Jeździli na łyżwach, załamał się pod nimi lód. Dziadek ocalał im życie i stracił swoje. Komunistyczny rząd pośmiertnie obdarował go za to medalem i ogłosił bohaterem. A my żyliśmy legendą dziadka.

Od czterech lat uczę obcokrajowców chińskiego. Moje marzenie się spełniło. Dlaczego nie zostałam nauczycielką, na przykład – matematyki? Moją jedyną drogą na uniwersytet były nauki polityczne na uczelni w Changchun. Nie chciałam jednak, jak ponad połowa moich kolegów ze studiów, uczyć systemów politycznych w szkole średniej. Nie interesowałam się też pracą w administracji rządowej, mimo że jeśli należało się do partii, można było bardzo szybko awansować i dzięki temu dostać lepszą posadę. Przecież na każdej uczelni w Chinach partia ma swoje jednostki, a student ze świetnymi wynikami może zostać jej członkiem. Po studiach zaczęłam podróżować po Chinach, chwycić się różnych prac w miejscach, do których trafiałam. Szukałam drogi dla siebie. Po roku wróciłam do Changchun i zupełnie przypadkiem spotkałam dawnego nauczyciela angielskiego. Zaproponował, żebym uczyła obcokrajowców chińskiego. On podciągnie mnie z angielskiego, zdam państwowe egzaminy i będę gotowa do pracy. Kilka lat temu cudzoziemcowi w Changchun wcale nie było łatwo znaleźć wykwalifikowanego nauczyciela chińskiego. Choć już wtedy było duże zapotrzebowanie, ponieważ cudzoziemców w Changchun przybywało i ciągle przybywa. Pewnie to za sprawą pomysłu przewodniczącego Mao, który swego czasu przeniósł tutaj cały przemysł motoryzacyjny Chin. Dzięki niemu w mieście znajdują się teraz siedziby międzynarodowych firm i potężnych konsorcjów. Pięć miesięcy przygotowywałam się do egzaminu. Zdałam, odebrałam dyplom nauczyciela języka chińskiego. A kiedy przeprowadziłam pierwszą lekcję z dwójką Kanadyjczyków, wydawców książek dla dzieci, byłam najszcześliwsza na świecie. Wiesz, jak to jest poczuć, że znalazłaś swoje miejsce? +

Co dalej? Teraz powinnam poszukać męża. Znasz może jakiegoś miłego obcokrajowca? Co w tym dziwnego? Przecież w Europie dziewczyny około trzydziestki też chcą już mieć stałego partnera.

Lingling: Powiem wprost: teraz moim marzeniem jest znalezienie wspianego męża. Mam 27 lat, skończone studia, dość dobrą pracę. Kogo szukam? Przyszły mąż musi być przede wszystkim stosunkowo bogaty albo mieć dobrze płatną pracę. Przecież będzie utrzymywał i mnie, i moją rodzinę – myślę tutaj o matce, ojcu i umysłowo chorym bracie – a także nasze przyszłe dzieci. Czy to jest wyrachowanie? Moim zdaniem nie. Przecież nie mamy takiego systemu emerytalnego i ubezpieczeniowego jak na Zachodzie. Dlatego my, dzieci naszych rodziców, musimy o nich na starość zadbać. Cokolwiek by było, dla Chińczyka rodzina jest najważniejsza. Żeniąc się z kobietą, żeni się poniekąd z jej rodziną, a dziewczyna poślubia nie tylko mężczyznę, lecz także jego matkę i ojca. Te zobowiązania finansowe są więc czymś normalnym. Oczywiście, po ślubie wciąż bym pracowała. Ale to głównie zarobki męża powinny finansować utrzymanie nasze i mojej rodziny. Chciałabym mieć też więcej niż jedno dziecko. Dwójkę najlepiej.

Na razie jednak nie mam nawet chłopaka. Kiedyś miałam. Po półtora roku zostawił mnie dla ładniejszej, tak powiedział. Bo przecież – nie oszukujmy się – pięknoscia nie jestem. Owszem, miła i dobra, tak o mnie mówią, i gospodarna, ale żadna ze mnie urodziwa dziewczyna. Ojciec zaczyna się już denerwować, że nie mam chłopaka. Niepełnosprawny brat też się ze mnie po cichu podśmiewa. Nie mówiąc o ciotkach i wujkach czy ludziach z mojej wsi. Wszyscy czekają, aż pewnego razu na chiński Nowy Rok, w sam środek Święta Wiosny, pojawię się z narzeczoną. A tu ani widu, ani słyhu. Jeśli w tym Roku Smoka nie znajdę sobie męża, pojedę do Rosji, dalej uczyć się na uniwersytecie.

Shan: Kiedyś moim jedynym marzeniem było ukończenie studiów inżynierskich we Francji. Właściwie nie wiem, czy to było marzenie, czy ambicja. Trudno to rozdzielić. Od kiedy pamiętam, zawsze chciałam być lepsza od najstarszego brata. Rodzice wychowali nas w duchu rywalizacji, w ciągłym porównywaniu się z innymi. Większość życia spędziłam na walce ze sobą, swoimi słabościami i na rywalizacji z innymi. Wymarzone studia skończyłam ze świetnym wynikiem zresztą, chociaż nie był to łatwy czas. Przecież kiedy przyjechałam do Francji, nie znałam ani jednego słowa w żadnym języku oprócz chińskiego. Owszem, radziłam sobie całkiem nieźle z mechaniką, matematyką, fizyką. Ale we Francji wszystkie zajęcia były po francusku. Jak zrozumieć nowe zagadnienia, jeśli język, którym do ciebie mówią, jest zupełnie obcy? Przyglądałam się równocześnie, jak studiują Francuzi. W ogóle nie mieściło mi się to w głowie: oni nieprzerwanie imprezowali, chodzili do

kina, gotowali, czytali książki. Z tym całym wychowaniem, które miałam za sobą, i w moim wąskim pojęciu o studiowaniu, za nic nie potrafiłam tego powiązać. Studiowanie i balangi? Myślałam, że kiepsko się uczą. A było odwrotnie, największe obiboki okazały się najzdolniejszymi studentami. Dopiero we Francji nauczyłam się żyć. Po raz pierwszy poszłam na tańce, po raz pierwszy spróbowałam wina, zrozumiałam, że mogę być dobra w swoim fachu i równocześnie funkcjonować społecznie. Przedtem, w Chinach, prócz podręczników, nad którymi ciągle siedziałam, świata właściwie nie widziałam. W dzień i w noc, w tygodniu i w weekendy – zakuwałam i zakuwałam.

Czego bym pragnęła teraz? Chyba żeby w końcu zapanował pokój między moim francuskim mężem i moją chińską rodziną. Przez ciągłą walkę między nimi żyję jakby w wiecznym zawieszeniu, pomiędzy jego racją a ich racją. Na pewno wpływ na to ma chiński model rodziny: ponieważ jestem dziewczyną, mój ojciec i najstarszy brat, a także matka mają prawo i obowiązek ingerować w moje życie, nieco nim kierować, nawet jeśli mam już męża. W praktyce oznacza to, że ingerują w nasze życie małżeńskie. Wywierają na nas presję, ciągle pytając: „A kiedy kupicie mieszkanie w Szanghaju?”, „A kiedy będziecie mieli dziecko?”, „A ile zaoszczędziliście w tym roku?”. Pamiętam, kiedy mój przyszły mąż mi się oświadczył, najstarszy brat przyjechał do Szanghaju zrobić z nim wywiad. Wszystko po to, żeby sprawdzić, czy jest dobrą partią. Jego pytania dotyczyły jedynie stanu konta kandydata. Później mąż musiał wysłuchać szeregu opowieści, jak to najstarszy brat zaoszczędził tysiące dolarów, jaki jest gospodarny, a on sam to oferma. Bo nie dąży do sukcesu, do międzynarodowej kariery i przede wszystkim – do wielkich pieniędzy. Jak tylko odwiedzamy moich rodziców, od razu zbiegają się sąsiedzi i ciotki, oglądają mnie pilnie, wsłuchują się i wywachuują, i pytają, czemu jeszcze nie jestem w ciąży. Pytają, czy może usunęłam albo czy mój mąż nie może mieć dzieci, bo ma jakiś feler. I z jednej strony rozumiem ich wszystkich i te ich naciski. Już ich nie zmienię. Równocześnie rozumiem męża, który jest w głębokiej depresji, kiedy tylko musimy się spotkać z moim ojcem czy bratem przysyłającym mu książki w stylu „jak zostać drugim Billem Gatesem” i kiedy wie, że po raz kolejny będzie musiał odpowiadać na ich pytania. Mimo że żyjemy w nowoczesnych Chinach, wydaje mi się czasami, że struktura społeczna jest tutaj bardzo archaiczna. No, może nie do końca, coś się jednak zmieniło. Kiedyś przecież rodzina wchodziła niemal do łóżka młodego małżeństwa, żeby sprawdzić, czy panna młoda jest dziewczyną.

Poszukiwania męża, poszukiwania żony

Haiou: Dawniej, jeszcze w pokoleniu moich rodziców, znalezienie męża było bardzo ważne, jeśli nie najważniejsze, w życiu dziewczyny. Teraz jednak, zwłaszcza w moim pokoleniu, zmieniło się podejście. Kiedyś od dobrego +

zamążpójścia zależał los nie tylko przyszłej żony, lecz także jej rodziny. Stąd barbarzyńskie zwyczaje, które rodzice i dziadkowie praktykowali na swoich córkach i wnuczkach, niekiedy już trzyletnich. Łamali im kości śródstopia, po czym kępowali stopy bandażami, by kształtem przypominały kwiat lilii. Wszystko, żeby podnieść wartość dziewczyny na rynku matrymonialnym i zadowolić przyszłego męża oraz jego rodzinę. Często konsekwencją tych zabiegów było kalectwo albo śmierć. Rany gnily, nie chciały się goić, a połamane kości – zrastać. Chociaż zwyczaj ten został zabroniony przez przewodniczącego Mao, kontynuowano go w ukryciu w niektórych prowincjach jeszcze za jego czasów. Dziś to już tylko historia, o której przypominają nam malutkie, barwnie haftowane buciki. Kupisz je w Changchun niemal na każdym rogu. Dawniej panna młoda musiała przed ślubem wyhaftować takie trzewiki na swoje malutkie, siedmio-, ośmiocentymetrowe stópkę. Popatrz, jakie to dziwne, ponadtysiącletnia tradycja w ciągu kilkudziesięciu lat całkowicie zanikła!

Teraz dziewczyny są bardziej samowystarczalne i niezależne niż ich matki, nie mówiąc już o babkach, nadal jednak chcą zakładać własne rodziny. Pracujemy, zbieramy i lokujemy w bankach zarobione pieniądze, same się utrzymujemy. Ciągłe też wierzymy w romantyczną miłość, mimo że nie mamy czasu na znalezienie drugiej połówki, bo jesteśmy tak zapracowane. Ja na przykład uczę codziennie, razem z sobotami, od 10:00 rano do 20:00, czasem – 21:00. W niedzielę jestem potwornie zmęczona, marzę jedynie o śnie i nicnierobieniu. Kiedy i gdzie mogę kogoś poznać? W podobnej sytuacji są moje koleżanki.

W Changchun jest park, Mudan Gongyuan. Spotykają się w nim rodzice młodych albo ich dziadkowie, żeby zaaranżować małżeństwa dla swoich dzieci i wnuków, którzy nie mają czasu na umawianie się na randki. Wszędzie stoją starcy z ogłoszeniami w rękach. Na drzewach i murkach wiszą oferty z fotografiami. Podaje się na nich informacje dotyczące wyglądu, wykształcenia, zawodu kandydatów. Rzecz jasna, nikt nie podaje informacji na temat stóp. Nie należą już do kanonu piękności! Starcy pertraktują między sobą, wychwalają własne dzieci, wnuki, tworzą im taki PR. Atmosfera panuje trochę jak na targu. Całe szczęście nie jest już tak jak kiedyś, że to rodzice mają jedyne prawo do wyboru męża dla córki. W większości wypadków stracili kontrolę nad swoimi dziećmi, które mogą im powiedzieć: „nie”. Mnie też próbowali kilka razy swatać. Potem dali spokój, bo zobaczyli, że w moim wypadku ta metoda zupełnie nie działa. Sama muszę znaleźć dla siebie partnera, nie chcę, żeby ktoś mnie wciąż w taką smutną i żenującą sytuację spotkania z kandydatem na męża. Matka i ojciec najprawdopodobniej zaakceptowałyby mój wybór. Nawet to, że ich przyszły zięć byłby biedny jak mysz kościelna, byłabym była szczęśliwa. Chociaż ja raczej nie zainteresowałabym się chłopakiem bez pieniędzy i bez perspektyw.

Edukacja seksualna: love hotele i uniwersytety

Lingling: Już nie jest jak dawniej, że dziewczyna musi być cnotliwa aż do ślubu, inaczej nie znajdzie męża. Młodzi żyją po swojemu, próbują seksu przed ślubem, sprawdzają, czy w tej sferze do siebie pasują. Z drugiej strony – jakaś moralność powinna być. I może dobrze, że strzegą jej szkoły i uniwersytety? Może to ich rola? Ale co to za pilnowanie... Czysta hipokryzja. Studenci obowiązkowo muszą wrócić do akademika do godziny 22:30, później budynek zamykają na cztery spusty i już się nie dostaniesz do swojego pokoju. Nieraz się zdarza, że nazwiska studentów, którzy nie zjawiają się przed 22:30, władze akademika wywieszają w publicznym miejscu. Osoby te są moralnie podejrzane. Podczas pierwszych lat studiów jest to dość bolesne doświadczenie, kiedy widzisz swoje imię i nazwisko upublicznione w ten sposób. Co więcej, chłopcy raczej nie powinni odwiedzać dziewczyn w ich pokojach, dziewczyny chłopców też nie. A z drugiej strony – wszędzie w okolicy uniwersytetu, jak grzyby po deszczu, mnożą się tanie love hotele, gdzie uprawia się wolną miłość. Można wziąć pokój na godzinę lub na całą noc. Oczywiście władze uczelni zdają sobie sprawę z ich istnienia.

Według mnie, love hotele są potrzebne, nikt nas przecież nie uczy seksualności, więc musimy sami. Jesteśmy pełnoletni i wciąż nie wiemy, czym są nasze ciała – nieco chore, prawda? A potem, gdy oglądamy filmy, w których kobieta i mężczyzna się całują albo widać kawałek nagiego ciała, ze wstydu zasłaniamy oczy.

Haiou: Chińska szkoła musi zachowywać zasady moralne i ich pilnować. Nie powstrzyma jednak młodych od seksualnych eksploracji. Raczej nie jestem za całkowitą wolnością w tej kwestii, sądzę jednak, że doświadczenie seksu jest przed ślubem potrzebne. Potem mogą wyjść różne problemy i rozczarowania, których można unikać, jeśli te sprawy zostaną wcześniej sprawdzone.

Shan: Mnie ani w szkole, ani na uniwersytecie, ani w domu na temat seksu nikt nigdy niczego nie uczył, nic nie powiedział. Podobnie z moimi koleżankami i kolegami. Na lekcjach biologii nauczyciele albo pomijali problematykę seksualności, albo kazali nam czytać książki na ten temat, mówiąc jednocześnie, że ta wiedza nie będzie wymagana na egzaminie. Śmiali się przy tym nerwowo i wstydliwie zakrywali usta. Ten całkowity brak informacji rodzi zabawne sytuacje, bo zdarza się, że dwudziestoletnia dziewczyna obawia się zajścia w ciąży po tym, jak całowała się ze swoim chłopakiem.

Polityka jednego dziecka

Haiou: Dzisiaj chłopcy w Chinach nie mają łatwo. Cięży na nich presja społeczeństwa może nawet większa niż na dziewczętach. Nadal przecież trzy

najważniejsze momenty w życiu Chińczyka to narodziny, wesele i śmierć. Na te okoliczności wydaje ogromne pieniądze. Jeśli mężczyzna chce się żenić, musi za wszystko zapłacić. Za ceremonie ślubne i wszystko, co jest z tym związane: wypożyczenie auta, zamówienie zawodowego fotografa, kamerzysty i zespołu, który będzie zabawiał gości, za obrączki, ubrania i tak dalej. W dodatku powinien mieć gotowe mieszkanie, najlepiej też samochód, dobry samochód. A panna młoda – co powinna wnieść do domu? Hm, jej rodzina ewentualnie urządzi mieszkanie, kupi lodówkę, pralkę, meble, telewizor... Jeśli popatrzyś jednak na to zjawisko z odpowiedniej perspektywy, odkryjesz, że w pewnym sensie jest ciągiem dalszym przeszłości. Kiedyś kobieta, wychodząc za męża, zostawiała ojca, matkę, wkraczała w domostwo rodziny męża. Wszystko było już gotowe, nowe gospodarstwo na nią czekało. Oczywiście ona w zamian miała sprawnie służyć nowym współdomownikom, wspomagać ich, ale to już inna opowieść.

A wracając do sytuacji chłopców, to trzeba o tym głośno mówić: obecnie w Chinach jest ich znacznie więcej niż dziewcząt i dlatego teraz jest im trudniej znaleźć żonę niż dawniej. Jakie będą skutki tego faktu? Nie wiemy. Los się odwrócił i dzisiaj komplikuje życie chińskich mężczyzn bardziej niż nasze.

Shan: Hm, hm... fakt, że chłopcy liczbowo przeważają nad dziewczynami, z pewnością jest skutkiem polityki jednego dziecka – moim zdaniem. W Chinach, gdzie zawsze wyżej ceniony był syn niż córka, prawo pozwala mieć tylko jedno dziecko, z kilkoma wyjątkami. W czasach przed Mao mówiło się nawet, że lepiej mieć psa niż córkę. Syn miał zapewnić spokojną starość rodzicom, był niejako przedłużeniem rodu, wobec czego dbał o duchy przodków. Syn pracował. A córka, zwłaszcza po zamążpójściu, nie mogła już rodzicom niczego dać, pracowała na rzecz swojej nowej rodziny, czyli rodziny męża. I mimo różnych propagandowych akcji partii próbujących odmienić opinię społeczeństwa, wciąż – zwłaszcza na wsi (dlatego tu chińskie prawo pozwala mieć drugie dziecko, pod warunkiem że pierwsze jest płci żeńskiej) – ludzie wolą syna niż córkę. Małżeństwa często dokonują aborcji, gdy tylko się dowiedzą, że urodzi im się dziewczynka. W związku z tym w szpitalach obowiązuje zakaz informowania, jakiej płci jest dziecko.

Ale zdarza się również, że para chce mieć dwoje dzieci albo więcej. I wówczas polityka jednego dziecka jest niezwykle krzywdząca, zwłaszcza jeśli się nie ma dużych pieniędzy. Tak jak było z moją siostrą i jej mężem. Po urodzeniu pierwszego synka zapragnęli mieć jeszcze jedno dziecko. Gdy się okazało, że siostra jest znów w ciąży, musieli z mężem emigrować do innej prowincji i przez kilka lat tam żyć, a starszego synka zostawili pod opieką moich rodziców. Wszystko, żeby uniknąć naprawdę wysokiej opłaty, na którą nie mieli szans uezierać pieniędzy (około siedmiu lat temu musieliby

zapłacić ponad 20 tysięcy dolarów za posiadanie drugiego dziecka. Jeśli jest się mieszkańcem wsi, opłata jest dużo niższa). Mój starszy siostrzeniec miał w związku z tym niezwykle trudne dzieciństwo, widywał rodziców tylko raz do roku, w Święto Wiosny. Odcięty od matki, ojca i młodszego brata, mieszkał ze starymi dziadkami, trochę w ukryciu.

Haiou: Zgadzam się zupełnie z polityką jednego dziecka. Było nas zbyt wielu. Jeśli poważnie myśleliśmy o rozwoju gospodarczym, trzeba było wprowadzić jakiś zakaz w kwestii urodzeń. Jako naród musimy przestrzegać zasad i prawa, a nie ciągle kombinować, jak mieć drugie dziecko i nie płacić za nie obowiązującej opłaty. Znaleźliśmy mnóstwo sposobów, by uniknąć odpowiedzialności: podajemy fałszywe dokumenty świadczące o umysłowej chorobie pierwszego dziecka, bo w tej sytuacji można się starać o kolejne, już legalne. Wyjeżdżamy do sąsiednich prowincji, żeby tam urodzić następnego potomka. Oczywiście polityka jednego dziecka ma też ciemną stronę: liczne zabójstwa nienarodzonych dzieci (tych, które są ponadliczbowe w rodzinie), przymusowe bądź nielegalne aborcje, zwłaszcza płodów płci żeńskiej. Od kilku lat rząd stara się kontrolować tę sferę. Na przykład lekarz nie ma prawa informować rodziców o płci dziecka, dużo się mówi o antykoncepcji i planowaniu rodziny.

Osobiście trudno mi zaakceptować fakt, że ojciec i matka nie potrafią pokochać córki i wciąż, podążając utartym szlakiem dawnej chińskiej tradycji, starają się o syna. Mogę zrozumieć, że para ma drugie dziecko, ponieważ nie zabezpieczyła się odpowiednio. Ale jeśli ma już córkę i ciągle marzy o chłopcu, bo tylko chłopiec jest pełnowartościowym człowiekiem, łamie przy tym politykę jednego dziecka i nie płaci za drugie dziecko ustawowej opłaty, musi ponieść konsekwencje. Chińczycy powinni zrozumieć, że posiadanie dziewczynki i chłopca jest tym samym. Zresztą to już się dzieje. Młodzi z mojego pokolenia uważają, że płeć nie ma znaczenia. Chcą mieć przede wszystkim zdrowe dziecko.

Lingling: Jak już mówiłam, chciałabym mieć dwójkę maluchów i będę miała. Oczywiście legalnych. Przecież bez legalności moje dziecko nie będzie miało w Chinach podstawowych praw obywatelskich. Ani szkoła nie będzie mu przysługiwała, ani lekarz... Skazane na społeczny niebyt, jaką miałoby przyszłość? Nim urodzę po raz drugi, zgłoszę się, jak należy, do urzędu komisji planowania rodziny, zapłacimy z mężem, co trzeba, i spokojnie poczekamy na drugie dziecko, dziewczynkę lub chłopca. Dlaczego miałabym mieć tylko jedno dziecko? Zgodnie z chińską tradycją wielodzietna, tłusta rodzina zapewnia pomyślność i szczęście dla wszystkich jej członków i dla przyszłych pokoleń. Myślę, że moja mama pomogłaby nam wychować dzieci. Może nawet zamieszkałaby z nami na jakiś czas... Większość Chińczyków zresztą w ten sposób żyje: kiedy tylko urodzi się dziecko, nasi rodzice +

przyjeżdżają zająć się domem i przede wszystkim – nowo narodzonym wnukiem bądź wnuczką. Wszyscy będziemy razem, a dzięki pomocy mojej mamy i mamy męża wrócę szybciej do pracy.

Idealny partner/partnerka

Haiou: Jakiego partnera się poszukuje? Ostatnio przeczytałam w Internecie ciekawy artykuł. Otóż przeprowadzone w 2010 roku badania Chińskiego Departamentu do spraw Populacji pokazują, że istnieje wśród kobiet rodzaj „zapotrzebowania” na bogatych mężów, z domami i pełnym kontem. Co więcej, powszechna jest opinia, że jeśli rodzina męża jest zamożna, żona będzie miała lepsze życie i ominie ją ciężka praca. W dodatku rodzaj wykonywanej pracy ma duże znaczenie dla „miłości”. Więcej niż połowa, około 60 procent, ankietowanych dziewczyn sądzi, że najbardziej atrakcyjną partią jest osobnik pracujący dla rządu. Taka pozycja bowiem oznacza dobre, stabilne zatrudnienie, odpowiedzialność, możliwość rozwoju i pięcia się po szczeblach kariery. Bez wątplenia chińskie dziewczyny mają w tej kwestii różne priorytety, cytując jedynie statystyki i badania. Dziwi jednak nieco, że ankietowane nie podają takich cech swoich przyszłych mężów, jak: dowcipny, przystojny, czytany, czysty i tak dalej. Może więc być głupkowaty, brzydki i brudny, byle dobrze zarabiał.

Przyszła żona natomiast wcale nie musi być bogata. Większość ankietowanych mężczyzn chciałaby wybraniek pracujących jako nauczycielki, wiek: około 27 lat. Nadal obecne jest w Chinach tradycyjne myślenie, że to mąż powinien mieć lepszą pozycję i sytuację zawodową niż żona. Czułby się niezręcznie, jeśli zarabiałaby więcej niż on, pracowała na wyższym stanowisku czy miała silniejszą pozycję zawodową. W rachubę wchodzi ewentualnie partnerstwo. Chociaż przyszli mężowie nie mają zbyt wielu oczekiwań co do zawodu partnerki, to chcą mieć piękne żony. Jak powinny wyglądać? Wydaje mi się, że to piękno nie ma jakichś szczególnych właściwości, w każdym razie – w badaniu się o tym nie wspomina. U nas chyba nie panują jeszcze takie standardy jak w Stanach, gdzie wymaga się od dziewczyny, żeby miała duży biust, zgrabne pośladki, nogi do nieba i jeszcze długie blond włosy. Po prostu musi mieć ładną twarz i nie może być gruba. Nie musi być nawet specjalnie inteligentna.

Lingling: Mnie się zdaje, że jednak w Dong Bei [Chiny Północno-Wschodnie – przyp. BL] obowiązuje jakiś kanon urody i dla mężczyzn, i dla kobiet. Idealna dziewczyna powinna mieć białą skórę, duże skośne oczy, niewielki nos i usta oraz okrągłą twarz. Chłopak może mieć nieco ciemniejszą skórę, duży nos, wystające kości policzkowe, małe oczy. Dobrze, żeby był wysoki. Z powodu tych dużych oczu bardzo popularne stają się u nas operacje plastyczne. Wiele moich koleżanek ze studiów powiększyło już sobie oczy, podnosząc

powieki. Zakłady, gdzie możesz zrobić operację, mnożą się, jednak wciąż chyba nie ma ich tyle, ile zakładów fryzjerskich. Jedna z moich bliższych koleżanek znalazła w Harbinie dość dobry gabinet i teraz ma oczy jak moneta jednojuanowa. Ona właściwie aż tak bardzo nie chciała tej operacji. Jej matka za to – tak. Koleżanka kończyła studia i powinna już mieć męża – tak uważała jej matka. Dlatego zainwestowała w operację oczu córki, to będzie lokata na przyszłość jej własną, a także na przyszłość jej rodziców. Przecież mąż córki zadba także o nich. A im córka piękniejsza, tym jej mąż bogatszy.

Haiou: Operacje oczu traktuje się jako inwestycje w siebie. Jeśli atrakcyjnie wyglądasz, zawsze łatwiej znajdziesz nie tylko partnera, lecz także lepszą pracę. Mimo to myślę, że te zabiegi nie są u nas jeszcze tak popularne, jak w Japonii albo Korei. Może jesteśmy nieco ostrożniejsi? Za to jeśli rozejrzysz się trochę po Changchun, odkryjesz wiele agencji, które z chęcią zajmą się twoim wizerunkiem. Z brzyduli mogą zrobić całkiem ładną dziewczynę. Zatrzeszczą się o twoją skórę, stworzą dla ciebie specjalną dietę, ubiorą, umalują, zrobią fryzurę, powiedzą, jak się ruszać i co mówić, a nawet – co myśleć.

Ying i yang w Dong Bei

Lingling: O ludziach z Dong Bei mówi się, że są bardzo waleczni. Walczą nie tylko mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami. Bardzo często widuję pary, małżeństwa, które najwycyzajniej w świecie się biją, przy czym kobiety wcale nie ustępują w tych bitwach mężczyznom. Jakbyśmy mieli inaczej zbalansowane ying [między innymi to, co kobiece – przyp. BL] i yang [między innymi to, co męskie – przyp. BL].

Choć może nie jest regułą, że to mężczyźni z Dong Bei są szybcy do bijatyk z żonami... W małżeństwie mojego wuja, Bai Mu, sytuacja jest odwrotna: on płacze, bo żona ciągle go tłucze. I to trwa już ponad 30 lat. Od momentu, kiedy wyszła za niego za mąż, stała się straszną jędzą. Wuj jest niezwykle delikatnym człowiekiem, wykształconym tłumaczem i nauczycielem akademickim. A ona – prosta kobiecina, edukację skończyła na szkole podstawowej. Ożenił się, bo ciotka bardzo wytrwale się o niego starała, nie z miłości się ożenił. Ciągle robiła mu na drutach skarpetki, a w czasach rewolucji Mao nie było o nie wcale tak łatwo. Nawiedzała go codziennie. Albo coś ugotowała, albo podrzuciła nową parę skarpet czy czerwonych rewolucyjnych rękawiczek. Aż pewnego razu zostawiła pod drzwiami jego mieszkania głowę świni. I wuj Bai Mu nie miał wyboru. Po takim symbolicznym geście, żeby ona nie straciła twarzy, musiał się z nią ożenić. A ciotka, jako starająca się o niego panna miła i wrażliwa, po ślubie zamieniła się w despotkę – jak nam opowiada wuj. Zaczęła go bić, dokuczać na każdym kroku, w kółko krzyczała, szarpała i klóciła się o byle co. Tak zostało do dziś.

Haiou: Rzeczywiście, w Chinach o ludziach z północy, z Dong Bei, mówi się, że są bardziej temperamentni, drapieżni i agresywni niż południowcy. Mówi się, że mają więcej ognia w sobie. Te różnice biorą się pewnie z klimatu. Na północy przecież zima trwa prawie sześć miesięcy. To musi jakoś wpływać na nasz charakter. Krzyczymy, gestykulujemy, łatwiej się unosimy, nawet nie dlatego, że jesteśmy na coś wściekli, lecz dlatego, że jest to nasz sposób bycia. W związku z warunkami naszej przyrody musisz być bardziej agresywny, ciągle pokazywać swoją siłę, inaczej trudno będzie ci się żyło w surowym klimacie i rozwiązywało podstawowe problemy, ponieważ wszyscy tutaj w ten właśnie sposób je rozwiązują.

A to, że ten rodzaj agresji jest obecny w rodzinach? Jeśli przyjmiemy, że to naturalna forma ekspresji ludzi północy, wówczas fakt ten przestaje dziwić. Moi rodzice na przykład czasami wrzeszczą na siebie, biją się nawet, nie oznacza to jednak, że się nie kochają.

Jak się poznali? Przez swatkę, którą zorganizowała moja babcia. Kiedyś przede wszystkim w ten sposób szukało się i znajdowało męża lub żonę. Zanim mama poznała ojca, miała spotkania z kilkoma innymi potencjalnymi mężami. Młodziutka, dwudziestodwuletnia i już pracowała jako nauczycielka. Kiedy spotkała po raz pierwszy mojego ojca, była nawet dość z niego zadowolona i zgodziła się na niego, lecz babcia ciągle kręciła nosem. Nie podobał się jej zbyt. Twierdziła, że jego skóra jest zbyt ciemna, co najczęściej oznacza, że nie pochodzi się ze szlacheckiej rodziny. Dziadek, ten, co utonął, miał natomiast inne zdanie i powiedział: „Ciemny jak pies, znaczy – zdrowy. Myślę, że jest uczciwy i odpowiedzialny”. I uparł się na tatę. Po tej zgodzie młodzi zaczęli się umawiać na randki. Oczywiście moja matka mogła powiedzieć: „nie”, jeśli ojciec by się jej nie spodobał. Zobacz, to już jest duża różnica obyczajów między pokoleniem babci, która nie mogła się przeciwstawić rodzinie, a pokoleniem moich rodziców! Babcia, dziadek i swatka mogli zaaranżować ich spotkanie, lecz nie mogli już za nich decydować. Oboje – i ojciec, i matka – nie musieli się przecież zgodzić na małżeństwo, jeśli uznaliby, że nie są sobie przeznaczeni.

Od samego początku rodzice byli małżeństwem niezwykle temperamentnym. Mamy tutaj w Dong Bei porzekadło: „Im bardziej kogoś kochasz, tym częściej go bijesz”. Odbieram te walki jako sposób okazywania miłości, zainteresowania i formę rozrywki. „Po wielu latach małżeństwa – jak mawia babcia – bitwy mogą być zabawą”. W ten sposób ludzie uwalniają też wściekłość. Kobiety nie są tutaj wcale ofiarami mężczyzn. Biją się tak samo jak oni. Muszę przyznać, że zachowanie ludzi północy bardzo mi odpowiada. Nie trzeba niczego udawać i chować za zbędną kurtuazją, możesz po prostu być sobą. Bo kto wie, co oznaczają aluzje, milczenie i kamienna twarz południowca?



Lingling, Haiou i Shan nigdy się nie widziały, nie zadały sobie ani jednego pytania, nie usłyszały swoich głosów. Jedynie w tym miejscu ich słowa się spotykają. Nie są to jednak całkowicie wierne zapisy rozmów. Zdarzało się, że podczas naszych spotkań nie wyjmowałam ani dyktafonu, ani notatnika i ołówka, które nieraz kępowały i cenzurowały moje rozmówczynie. Czasem dopiero później mogłam się zabrać za rekonstrukcję zapisanych w pamięci dialogów.

Postanowiłam ograniczyć swój udział w rozmowach i oddać głos trzem Chinkom. Niech mówią, co chcą i jak chcą. Niech to będzie ich tekst o nich samych. Poza tym – wyciszenie głosu pytającego cudzoziemca sprawia czasem, że znika jego nieprzyzwoite zdziwienie, wartościowanie przedstawianego świata.

Ze względu na moją niewystarczającą znajomość chińskiego z każdą z nich rozmawiałam w innym języku. Z Lingling po rosyjsku i chińsku, z Haiou – głównie po angielsku, nieco po chińsku. Shan natomiast mówiła do mnie po angielsku, francusku i chińsku. Oczywiście, prócz chińskiego, żaden z tych języków nie jest ani ich, ani moim językiem macierzystym. Angielski, rosyjski czy francuski były niejako wozami transmisyjnymi w naszej komunikacji. Do tej różnorodności dołączył jeszcze jeden język: polski. Miało to swoją cenę. Możliwe, że przez tę wielość procesów translatorycznych głosy trzech kobiet, ich sposób mówienia, a co za tym idzie – rysy osobowości, spłaszczyły się i ujednoliciły.

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze jednym czynniku. Była nim moja osoba jako waiguoren, cudzoziemka, obca. Moje trzy bohaterki rozmawiały ze mną inaczej niż z Chińczykiem czy Chinką. Zresztą przy pierwszym spotkaniu właściwie wszyscy moi chińscy znajomi starali się pokazać swój kraj jako piękną krainę z folderu dla turystów. Do rozmów bardziej uczciwych potrzebne są przede wszystkim czas i zaufanie. ●